

## **Marcin Samlicki: Olga Boznańska. Część 2**

Kota nie mogła już trzymać ze względu na psa, a przede wszystkim na myszy. Uważała je za rozkoszne towarzyski swej pustelni, tem droższe, bo prześladowane przez ludzi i zwierzęta. Dawała im nie tylko własne jedzenie, ale nawet stale kupowała pszenicę lub inne ziarno, lub karmę i rozsypywała to po różnych kątach. Nic dziwnego, że z całej kamienicy zbiegały się do niej.

### **Austryaczka[1]**

Z zamazanego tła przeszłości, jak z tła jej obrazu, wyłania mi się jej postać. Przymrużam, jak ona oczy, gdy malowała, abym ujął ogół zarówno formy, jak barwy. Pisałem wprawdzie o niej w „Sztukach Pięknych”, ale nie wyczerpująco, musiałem wiele pominąć, mając na względzie cel pisania i sam przedmiot jeszcze żyjący. Obecnie, gdy jej nie ma, gdy nie mogę psuć jej „interesu”, mogę być otwartym. Przedstawiłem ją tylko z jednej strony, jak fotograf, wykorzystując pozę najlepszą. Obecnie chcę się zabawić w rzeźbiarza i pokazać ją w rzeźbie, którą da się obejść i oglądać wokół. Pokazać nie tylko zalety, ale i wady, co razem stworzy prawdziwą żywą Boznańską. My, Polacy, stwarzając wielkich naszych, staramy się przedstawiać ich cnoty i pomijać usterki - wynik takiego ujęcia jest taki, że postać taka wygląda na modela stworzonego dla młodzieży. Tak wypadli nasi poeci, nasi bohaterowie, nasi plastycy itd. Mniemam, że nie zmniejszę talentu Boznańskiej, jeśli na nią będę patrzył krytycznym okiem. Pozostanie zawsze dzielną

malarką, subtelną, wykwiintną kolorystką i dobrym człowiekiem. Czy była dobra Polką, nie wiem. Uważała się za taką. Jej patriotyzm ukształcił się w szkole stańczykowskiej i w jej pojęciach tkwił przez całe życie. Lojalność wobec Austrii, a nawet Niemiec, posuwała aż do samozaparcia się polskości. W katalogach wystaw Salonu paryskiego figuruje jako Austriaczka. W kwestionariuszach załączanych do obrazów wypełniała rubrykę „*nationalité*: Austriaczka”. Nie wiedziałem o tem, aż zwrócił mi na to uwagę kolega Zawadziński, Kergur, Rubczak i inni. Każdy z nas, posyłając obrazy do salonów, wypełniał rubrykę podobną – „Polak”. Nawet w prefekturze policji walczyliśmy zaciekle o to, by nas nie obejmowali nazwą państwa, lecz narodu. Wprawdzie to nie pomagało, że w *carte d'identité*[2] wpisywano nam „autrichien”, ale przynajmniej protestowaliśmy przeciw tej krzywdzie i obeldze. Tymczasem nasza artystka, chluba Polski, bez przymusu podpisywała się „Austriaczką”. Nieraz opowiadała mi scenę, jak arcyksiążę, zdaje mi się, Karol Ludwik, brat cesarza, udekorował ją w Wiedniu złotym medalem i rzekł: „Jestem dumny z pani, że jako Polka zdobyła pani to odznaczenie”, a potem gratulowała jej powodzenia cała elita arystokratyczna.

Ponieważ kształciła się w Monachium u Kricheldorfa w otoczeniu bardzo koleżeńskim i życzliwym, gdzie znalazła licznych serdecznych przyjaciół obu płci, zachowała dozgonną wdzięczność dla Niemców. Z zachwytem wspominała te czasy studiów i swej kariery i uczucie to przelała na cały naród niemiecki, żyjąc zatem dziesiątki lat w Paryżu, z entuzjazmem i tęsknotą wspominała Niemcy i Niemców, a ilekroć jakaś Niemka zjawiała się w jej pracowni, otwierała jej serce. Nie cierpiała Francuzów, dopatrywała się w nich wszędzie niskiego materializmu i wyzysku. Serdeczna przyjaciółka, panna Weiss z Berlina: „Mają żydowski charakter, wszędzie tylko szukają interesu zysku, są wprost brudni w interesach”. Ilekroć jakaś sklepniczarka czy sklepikarz oszukał

ją choćby na parę groszy, zaraz to rozciągała na cały naród. Zdaniem jej Francuzi niedorośli do cnót i zalet Niemców. Traktat wersalski uważała nie tylko za krzywdę Niemiec, ale za hańbę Francuzów i Anglików. Ba, za hańbę naszą, Polaków. „Paskudną jest teraz Polska, bo skrzywdziła Niemców, zabierając Szląsk, Pomorze i Wielkopolskę. O ile piękniejszą była Polska, gdy była w rozbiorach i cierpiała, nie teraz, gdy prześladuje biedne Niemcy i rabuje ich ziemie, które od wieków należały do Niemiec”.

Zgłupiałem na taki *dictum*, które świadczyło nie tyle o niepatriotyzmie artystki, ale przede wszystkim o braku wykształcenia i głupocie. Ze zdumieniem słuchała moich historycznych wywodów, ale w wyniku rozmowy pozostała nadal uparcie wielbicielką Germanii. Raz przy mnie wybuchła kłótnia między nią a kolegą Ludwikiem Puszetem[3]. Była to chwila, gdy artysta ten starał się uzyskać obywatelstwo francuskie, chciał opuścić Polskę i przenieść się do Paryża. Syna jednego już przerobił na Francuza, gdyż nie mógł zapomnieć, jak drugi syn Jacek[4] (rzeźbiarz) cierpiał jako prosty żołnierz w armii polskiej. Potomkowie chłopów mogli i musieli cierpieć „jako prości żołnierze”, ale syn arystokraty, który pono był potomkiem nieprawego łoża króla Stasia (tak utrzymywała Boznańska wtajemniczona w miłosne afery arystokracji), choć nie miał nawet średniego wykształcenia, winien zajmować zaraz oficerskie stanowisko, ze względu na swoje pochodzenie. Otóż papa Puszet wrócił właśnie z prefektury policji i opowiadał z entuzjazmem, jak go przyjmował serdecznie prefekt policji.

– Mówiliśmy bardzo długo, także o pani.

– O mnie? Z prefektem policji? – zawołała zirytowana Boznańska.

– Tak, o pani, z przekąsem i złościwie.

– Nie upoważniłam pana do tego i wiadomość ta bynajmniej nie sprawia mi przyjemności (ton coraz więcej zirytowany).

– Ależ proszę się uspokoić. Mówiliśmy o talencie pani, który prefekt policji bardzo wysoko ceni, o niczym innym. Przemilczałem pani miłość do Niemców, chociaż może on coś o tem wie, wszak pani nie krępuje się w manifestowaniu swych uczuć wobec tego narodu i różnym ludziom to opowiada.

– Nie krępuje się, ale tylko wobec przyjaciół i dobrych znajomych.

– Tak, ale ci mogą mieć szerokie gęby i bez jakiegokolwiek intencji wypaplać niejedno.

– Zresztą wszystko mi jedno, co on o mnie myśli, może zrobić z tego użytek lub nie, ale nie jestem panu wdzięczna za tą wiadomość i proszę pana więcej o mnie z nim nie mówić. Jestem, jak pan sądzi, kiepską Polką, bo lubię Niemców, ale nie staram się o obywatelstwo obce, i czy mi jest źle, czy dobrze, pozostaję Polką.

– I Austriaczką - ironicznie dodał.

– Nie jestem temu winna, że nas do tego narodu zaliczają właśnie ukochani przez pana Francuzi. W każdym razie Austriacy uznawali narodowość polską, a Francuzi nie. Pan zresztą bez przymusu porzuca swą narodowość, dobrowolnie staje się Francuzem. To samo robi pan ze swoim synem.

– Moi dziadowie byli Francuzami.

– Ale pan dotychczas uważał się za Polaka i dzieci swe wychowywał jako Polaków. Skąd naraz ta gwałtowna zmiana?

– Pani dobrze wie, jak dzisiejszy rząd rządzi. Wszystko tak robi, by zbrzydzić pobyt Polakom w Polsce. Czy to ja jeden chcę uciec z niej, zapytaj się pani Paderewskiego, czemu ją opuścił. A chyba jego uważa pani za dobrego Polaka. Zresztą czemu pani woli siedzieć tu, w Paryżu a nie w Krakowie?

– Pan sam dobrze wie czemu. Tu mogę zapracować na chleb a w kraju nie. Tu mię tylko trzyma możliwość zarobkowania, lecz gdybym znalazła warunki egzystencji w kraju, zaraz bym wróciła.

Dalsza rozmowa toczyła się na temat nieznośnych warunków w Polsce wytworzonych przez rząd, przez stronnictwa oraz biedę. Była to wygodna platforma zgody dla wszystkich niezadowolonych. Toteż oboje artystów pogodziło się i rozeszli we względnej harmonii uczuć.

Atoli ledwie wyszedł, wróciła Boznańska do tematu wynarodowienia.

– Chciałby się jak najprędzej stać obywatelem francuskim, ale jakoś go nie bardzo pragną i opóźniają jego przyjęcie. Mnie zarzuca, że mam złą Polkę, bo nie lubię Francuzów, a wolę Niemców, ale zapomina o sobie. Sam chce przestać być Polakiem, a nawet pozbawił Polskę jednego Polaka, bo syna swego przerobił na Francuza, a zapomina, że siostrę ma wydaną za Niemca gdzieś w Nadrenii, i on śmie drugiemu prawić kazania o obowiązkach obywatela polskiego. Moja matka była Francuzką, mam tu nawet w Paryżu rodzinę matki, ale ja nie myślę porzucić polskości jak on. Co prawda wiele doznaję przykrości ze strony otoczenia. Nasze społeczeństwo jest bardzo złośliwe i plotkarskie. Opowiadają sobie niby na ucho, ale tak głośno, że i do jego uszu to dojdzie, że jego mama czy babka była Żydówką. To go bardzo drażni, zwłaszcza że w Warszawie jest moc Żydów Puszetów. Otóż stąd pochodzi jego ostentacyjna matka Mondain[5] z Valance, zaznaczanie wszędzie, że nazywa się nie Pusztet, lecz Puget, że nazwa obecna Puszet (jest) ma być zniekształceniem słowa Puget. Wygaduje na Polaków, a gdzie może, to się wciska w arystokrację polską, choć ona sobie jego lekceważy, bo jest biedny, myśli, że przez zmianę obywatelstwa zrobi karierę, to się grubo myli. Francuzi, jeśli go przyjmą, to dlatego, by zyskać jego syna jako żołnierza. To naród bardzo interesowny, istni Żydzi. Nic za darmo”.

Epilog starań Puszeteta był taki, iż znużony utrudnieniami, jakie mu czyniła prefektura, zrezygnował z tej chęci, zwłaszcza że przez stosunki dostał urządzenie zamku poznańskiego pana cesarza Wilhelma, co mu przyniosło trochę grosza i otwierało nadzieję do dalszych zarobków i możliwości rozwoju. O jego staraniach zmiany narodowości w Polsce

nie wiadano, a jeśli kto wiedział, nie starał się mu szkodzić. Sam szef departamentu sztuki Władysław Skoczylas pisał do mnie pewnego razu: „Nie można kwestionować polskości tych, co noszą obce nazwiska. Weź np. pana Puszeta. Jest z pochodzenia Francuzem, a w gruncie rzeczy jest dobrym Polakiem”. Gdyby był wiedział coś o owych staraniach dla siebie i syna, może by tak o nim nie napisał.

Otoczenie Boznańskiej znało jej słabość wobec Niemców. Jedni to milczeniem pokrywali, a inni wyzyskiwali, by się jej przypodobać, a z innej korzystać. Taką była np. pianistka Esler, czeska Żydówka o potwornym wyglądzie, mała, garbata, która całymi dniami przez wszystkie lata wysiadywała u Boznańskiej, prowadząc z nią różny handel zamienny, pożyczając pieniędzy, popijając herbatę. Nie lubiła Niemców, ale bardzo chętnie uciekała się do mowy niemieckiej. Nie znosiła, gdy wobec niej toczyła się rozmowa po polsku. Parokrotnie zdarzyło mi się, że pokłóciłem się z nią z racji polskiej rozmowy, zwłaszcza gdy naszą mowę nazwała wstrętną. Otóż ten potworek znosił różne, nieraz najgłupsze bajki z życia kolonii cudzoziemców, z polityki, ze sztuki, zwłaszcza wszystko, co źle mówiło [o] Francuzach i o nas. Bezkrytyczna Boznańska powtarzała to potem jako pewnik. Garbuska ta była pianistką, uczennicą prof. Leszetyckiego i to wszystkim starała się wbić w pamięć. Malowała ją Boznańska wielokrotnie i zrobiła parę świetnych jej portretów, z których kilka otrzymała, iż mogła sobie sprzedać. W ten sposób pomagała jej nasza artystka, jak również wielu innych. Drugim, i to gorszym pasożytem stałym była rzeźbiarka Kunceska Bogdanowicz. Ta chorująca stale na suchoty galopujące kieszeni, pożyczala niby pieniędzy od Boznańskiej, a nigdy jej nie oddawała, pamiętała zawsze ostatnią cyfrę pożyczki, nie wspominając o poprzednich. Stale mi się skarżyła o to na nią Boznańska: „Co ona mówi o 10 fr. tego tygodnia, a czemu nie wspomina o setkach, które ode mnie dotychczas zabrała i nie myśli zwrócić”. Otóż ta rzeźbiarka,

sprytna zresztą, inteligentna, wiedziała jak podbijać bębenka Boznańskiej. Chcąc sobie ją życzliwie usposobić dla nowej pożyczki, zaczęła wygadywać na aliantów, chwalić i litować się nad losem Niemiec. Były to czasy po zawarciu pokoju wersalskiego, więc sposobność tematowa zawsze się znalazła. Ostatni raz miałem sposobność być świadkiem wynurzeń wrogich wobec aliantów, a zwłaszcza Polski, a w obronie Niemiec w maju 1933 r. Jadąc do Ameryki, zatrzymałem się w Paryżu i spędziłem niejedno popołudnie w pracowni Olgi Boznańskiej.

Jednego dnia wpada jak furja Bogdanowiczowa do pracowni, rzuca się po niej i wciąż woła:

– To podłość, niesłychane!

– Co się stało? - pyta Boznańska.

– Niech sobie pani wyobraża: alianci zabronili Niemcom się zbroić. Sami uzbrojeni są od stóp do głów, nawet Czechom wolno się uzbroić, a tak wielkiemu narodowi i po takiej klęsce, Niemcom, nie wolno się zbroić. Taki kulturalny naród jak oni i pod kuratelą jak bankruci lub zbrodniarze. Ze to robili Francuzi i Anglicy, to jeszcze zrozumiałe, ale że polski rząd przyłącza się do akcji wrogiej przeciw Niemcom, to wprost nie do pomyślenia. To niesłychane, byśmy my Niemcom dyktowali prawa. Niesłychane, byśmy my pomagali aliantom ciemnić nieszczęśliwy naród dotknięty tak wielką klęską.

– To niesłychane – jak echo powtarza Boznańska.

– Co ci alianci wyrabiają z nieszczęśliwymi Niemcami! Wprost wstrętne wydaje mi się dzisiejsza Polska.

Zgłupiałem, słysząc te wybuchy oburzenia na aliantów, a cóż dopiero na własny naród. Bo że Niemcy mogą się wściekać i złościć, i przeciwdziałać, to znajduję zupełnie naturalne z ich stanowiska, ale by Polki oburzały się na własny rząd i naród, to wydało mi się co najmniej nie do wiary. Cała tyrada narzekań toczyła się między obiema paniami, które nie liczyły się z moją obecnością. Postanowiłem dać nauczkę tej Polce, którą wielokrotnie rząd polski wspierał pieniędzmi, mąż jej był, czy nawet jest jeszcze, wicewojewodą, sama żyje i stara się wśrubować w sfery rządowe, by dostać zamówienia dalsze (bo niedawno rząd kupił u niej popiersie Chopina za kilkanaście tysięcy), a obecnie zapomina o swem stosunku do rządu i do społeczeństwa i piętnuje dosadnie ich politykę.

– Więc pani uważa postępowania rządu polskiego za podłe?

– Tak, to jest nędzne, postawić się nad pokonanym wrogiem.

– Naprawdę pani to podtrzymuje?

– Tak.

– I mogłaby pani to powtórzyć wobec osób poważnych, np. z rządu?

– Naturalnie. Ale czemu pan o to pyta? Na co to panu potrzebne?

– Bo, widzi pani, ja to Pani ułatwię. Powtórzę pani opinię komuś w kraju, komuś wybitnemu z rządu, by się zorientowali u nas, co o nich za granicą własni rodacy myślą. Powiem, że pani jest dosadnym wyrazem oburzenia pewnych rodaków w Paryżu i kto wie, czy to nie wpłynie na ich postępowanie.

– Jest pan podłym człowiekiem i denuncjantem!

Powiedziawszy z wściekłością i trwogą, cała blada, trzęsąca się, rzuciła się ku mnie siedzącemu na podium z podniesioną ręką, by mi wymierzyć policzek. Widząc nagły i niespodziewany atak na mnie, nie miałem czasu poderwać się z krzesła, tylko założoną nogą z drugiej podniosłem i pchnąłem ją w piersi tak, że odleciała z podium i padła. Podniosła się natychmiast, bo i istotnie jest zgrabną osobką, ale musiała wyglądać dość komicznie ta scena, bo rzuciwszy wzrok na Boznańską, widziałem, że zastawiła twarz roześmianą, natomiast panienska, jakaś Polka z południowej Ameryki, przerażonym głosem zawołała (także malarka): „Panie, jak pan mógł coś podobnego zrobić”. Przyznam się, że uczułem niesmak do mego czynu, ale usprawiedliwiłem się przed sobą samym, że się broniłem przed policzkiem.

– Chyba pani sama widziała, że zostałem napadnięty i że broniłem się, jak mogłem.

– Tak, to prawda – rzecz Boznańska. – Pan Samlicki został napadnięty, więc się bronił, by nie dopuścić do policzka.

Tymczasem Bogdanowicz otworzyła wszystkie zapory wściekłości na mnie, wyzywając mię od denuncjanta, od podłego szubrawca itp. Pozwoliłem się jej wykrzyzczyć. Gdy się nieco uspokoiła, rzekłem:

– Niech się pani nie obawia, że powtórzę jej opinię o rządzie polskim. Nie miałem bynajmniej zamiaru szkodzić pani, chciałem tylko pani dać nauczkę, że pani jest tchórzem i że właśnie pani postępuje podle, korzystając z łask rządu polskiego, który pani obrzuca błotem za granicą wobec ludzi obcych. Korzystała pani z tego rządu jako żona polskiego urzędnika. Korzystała pani z licznych wsparć i zamówień, i pani ma czelność pluć na ten rząd. Bądź pani pewną, że z tego użytku publicznego nie zrobię, nie chcę pani psuć interesów, tylko wykazałem pani, że jest silniejsza w buzi jak w rozsądku i etyce.

Zaczęła dalej jazgotać, oberwało się przy tem i Boznańskiej za to, że jej nie broniła. Podobnie jak wpadła, z furją wyleciała. Boznańska, widząc było, że była zadowolona z nauki, jakiej udzieliłem napastniczce, bo tłumiąc ciągle śmiech, mówiła:

– Ponad przykrą sceną, jaka się rozegrała między wami, panował komizm wyglądu atakującej Bogdanowiczki, tak śmiesznie wyglądała, że nie mogłam się opanować. Co sobie wspomnę jej wygląd, budzi się

śmiech we mnie. Rozumie pani (zwracając się do panienki), pan Samlicki został napadnięty, musiał się bronić, a i on wyglądał też komicznie z temi nogami i rękami rozczapierzonemi. Dwa koguty.

Naturalnie, że zyskałem sobie wroga w tej kobiecie i mniemam, iż mi tej sceny nie przebaczy nigdy. Czyste mam sumienie. Sama sobie winna.

### **Portret sióstr**

Zastanowiło mnie nieraz pytanie, jakie wykształcenie odebrała Olga Boznańska, gdy nieraz okazywała brak znajomości podstawowych pojęć. Opowiadała mi, że ojczulek kształcił je i sposobił na wielkie damy. Mówię „je”, bo Olga ma, a raczej miała, siostrę Izę[6], która pono była bardzo wykształconą, zwłaszcza w chemii. Według tego, co spostrzegłem, z wieloletniej znajomości mogłem wycisnąć następujące wnioski: był to pasożyt na życiu Olgi Boznańskiej. Nie miała majątku, nie zarabiała ni grosza, niby coś robiła, niby pracowała nad chemią, a czytała tylko romanse francuskie, a przede wszystkim upijała się i morfinizowała, aż w końcu wzięła za wielką dawkę i otruła się. Eksploatowała siostrę bezlitośnie, a w dodatku od czasu do czasu robiła jej sceny, gniewy, wywoływała skandale, co poczciwa i dobra Olga znosiła i pokrywała. „Znowu mi ta «smarkata» urządziła scenę i pogniewała się. Niech to, wytrzymam ją parę dni, musi sama tu przyjść i upokorzyć się, co ją będzie wiele kosztowało”. Był to uchylony rąbek tajemnicy rodzinnej, z czego wynikało, iż miała bardzo ciężkie pożycia z siostrą. „Wie pan, że Iza jest szalenie zazdrosna o każdą osobę, która się do mnie zbliży. Jakoś pan jest w jej łaskach, bo mię panem nie prześladowuje. Nie wolno mi niczego komuś dać, czy to z pieniędzy, czy z

obrazów, bo uważa to za uszczuplenie jej własnego majątku. Ona uważa, że wszystko, co posiadam, jest jej majątkiem, i czeka na moją śmierć. Powiedziałam jej kiedyś, że się może przeliczyć w rachubach, bo może ona wcześniej umrzeć niż ja. Zrobiła mi przed paroma dniami awanturę, iżem dała kwiaty Bogdanowiczowej. Jak mogłam tego nie zrobić, przecież ona nie ma z czego żyć! Nie podoba mi się ta kontrola mej siostry, i to jej powiedziałam. Dąsa się ta «smarkata» od paru dni, nie przychodzi, ale dziś z pewnością przyjdzie, bo nie ma co palić, a właśnie dostałam paczkę znakomitych papierosów, ale ja ich nie lubię, wolę swoje kręcone. Proszę, niech pan nie odchodzi, a jeszcze lepiej pan zrobi i pójdzie na miasto i zrobi pan zakupy. Potrzeba mi cukru, chleba, masła, gotowanego kalafiora, dla Maciusia (kanarek) ziarna i główkę sałaty, dla Babiego (piesek czarny, mały, głupi, wiecznie szczekający, chory) siekanego mięsa, dla myszek ziarna, dla mnie bibulek i paczkę tytoniu oraz «Le Matin». Przez ten czas ja nastawię wodę na herbatę”. Gdy wróciłem, zastałem pannę Izę, która już zdołała się pogodzić z siostrą, udobruchaną paczką znakomitych papierosów.

Iza nie przypominała siostry żadnym podobieństwem ciała, chyba bladością cery. Obie siostry unikały i nie lubiały słońca, a na świat boży wychodziły [ze] swych mieszkań pod wieczór, robiąc spacer po bulwarze Montparnasse i przyległych uliczkach, czasem, a raczej co niedzielę, szły na kolację do taniej restauracji, gdyż w tygodniu same oddzielnie przyrządzały sobie jedzenie. Olga jadała szalenie mało i przeważnie jarzyny. Chodziły ubrane według mody ze swej młodości w sukniach ciemnych i powłóczystych, w kapeluszach fantastycznych wiecznie tych samych. Iza nosiła kapelusz przypominający całkiem kapelusz Napoleona. Nieraz złośliwi, a dowcipni Francuzi mówili tak głośno, żeśmy to słyszeli: „Idzie Napoleon”. Powierzchnowość ich tak zwracała uwagę, iż wszyscy na nie spoglądali i oglądali się za nimi z uśmiechem.

Otóż zdaje mi się, że wykształcenie obu pań ograniczyło się do zaznajomienia z językami francuskim i niemieckim (angielskiego nauczyły się później). Chodziły pono na kursy Baranieckiego, jeździły konno i czytały romanse. Olga kształciła się wiele zawodowo, o Izie nie wiem. Po studiach w Krakowie tatuś wysłał obie do Monachium. Od wczesnej młodości żyły wśród eleganckiego świata, z adoracją wpatrzone w arystokrację. Należy dodać, że obie grały na fortepianie i miały subtelne wyczucie muzyki. Nieraz Olga wyrażała przede mną uznanie swe dla rasy arystokratycznej w zachwycie. „Rasa więcej znaczy jak piękność, kultura stara jak wykształcenie. Przypatrz się pan, jaki finezyjny nos albo te oczy, co za wyraz, co za cera, a ręka ta mówi nieraz więcej niż twarz, niezrównane te długie palce zaznaczoną artykulacją, te niebieskawe żyły na woskowej skórze, jakie to kolorowe. Ileż smaku w ich ubraniu”. (...)

### **Ramzes II i myszy**

Boznańska kochała bardzo wszystkie zwierzęta. Z pewnością gdyby miała swój dom, wypełniłaby go od piwnicy do strychu różną zwierzyną. W obecnym domu tego nie mogła zrobić, więc ograniczyła się do kanarka, pieska i myszek. Oswoiła tak kanarka, że bił się z każdym, kto ręką sięgnął do niego. W środku klatki zwiśla niteczka, którą się bawił stale i która w końcu stała się tragedią dla niego. Raz w nocy skręcił tę niteczkę dokoła szyi i powiesił się. Rano znalazła Maciusia martwym. Płakała po nim rzewnie. Bobi, malutki czarny pieseczek, brzydki, leniwy, chorowity. Wieczna troska i zmartwienie artystki. Był już stary, to znaczy, że musiał mieć do ośmiu lat. Nic nie narobił, tylko szczeakał na każdego wstępującego w progi pracowni. Kanarek nazywał się Maciuś. Piesek nosił miano *Baby la beauté*.

Wylegiwał się na swoim wyrku, robił nieporządek po kątach, od czasu do czasu, jak bywał chory, co przysparzało trudu i troski dla Boznańskiej. Najwięcej kłopotu sprawił, gdy wychodził na spacer z paniami, gdyż trzeba go było chronić przed rozjechaniem i psami, i ludźmi.

Przywiązanie nie zna poświęceń zbyt wielkich, na wszystko się narazi. Do tego należy dodać podatek. Kota nie mogła już trzymać ze względu na psa, a przede wszystkim na myszy. Uważała je za rozkoszne towarzyski swej pustelni, tem droższe, bo prześladowane przez ludzi i zwierzęta. Dawała im nie tylko własne jedzenie, ale nawet stale kupowała pszenicę lub inne ziarno, lub karmę i rozsypywała to po różnych kątach. Nic dziwnego, że z całej kamienicy zbiegały się do niej. Były tak śmiałe, iż wobec gości, gdy się spokojniej mówiło, wychodziły z nor i uganiały się po podłodze i meblach. Czasem znajdowało się niektóre w palcie lub kapeluszu, które się na kanapie złożyło. Czasem wygryzły dziurę w ubraniu lub kapeluszu. Nie gardziły one i obrazami. „Wyobraź sobie pan, że to muszą być nowe lub młode, nieznające mnie, bo dotychczas oszczędzały obrazy, a teraz je wygryzają”. Istotnie, niektóre obrazy na tekturach ogryzły, dookoła zwłaszcza spodem. Może je zwabił klej powlekający powierzchnię a może potrzebne im były strzępy do usłania gniazdka, albo też zwykłe przyzwyczajenie u gryzoniów. O te myszy pokłóciła się i zerwała z różnymi osobami i nie dała sobie wytłumaczyć, ile ona traci przez nie. Wiele pań nie chciało przychodzić z obawy przed myszami. Sprytna żona malarza Czedekowskiego w odpowiedniej chwili, gdy bogata Amerykanka wybierała się do zwiedzania pracowni Boznańskiej, rzuciła niby od niechcienia: „A nie będzie się pani bała myszy?”. I opowiedziała o nich, jak setkami gonią po mieszkaniu, co również potwierdził jej mąż. To wystarczyło, że odstraszył Amerykankę od pójścia i zamówienia portretu u malarki. Za to Czedekowski zrobił nowy portret.

Gdy jej zwrócono uwagę na ten fakt, nie uwierzyła, że to jest prawdą, wszak oboje Czedekowscy odwiedzają ją, są tacy serdeczni, a fakt z myszami jest bezsprzeczny, więc cóż temu są winni opowiadający? Wszak to się nie da ukryć, że są myszy, że je lubi i nadal będzie je karmiła, choćby się nie pokazała ani jedna Amerykanka milionerka.

Pewne grono osób odwiedzających, wśród których było paru młodych Francuzów, uknuło spisek na życie myszy. Kupiło zatrutej pszenicy i nieznacznie rozsypało ją po różnych kątach pracowni. Skutek był doskonały, bo po paru dniach znalazła artystka w różnych kątach pozdychane zwierzątka, niestety odkryła i przyczynę ich zgonu. Zawrzała gniewem na nieznanych sprawców i pokłóciła się, i zerwała stosunki z pewnymi osobami, które podejrzewała o ten czyn. Na szczęście mnie nie było wtedy w Paryżu i dowiedziałem się o tem dość późno. Z pewnością, gdybym był, należałbym do spisku. Opowiadała mi o tym zdarzeniu z najwyższym oburzeniem i żalem, ale przyjaciele nie dali za wygrane w walce z myszami.

Nadarzyła się doskonała sposobność po śmierci nieodżałowanej pamięci Bobiego. Nawet po śmierci postanowiła się z nim nie rozstawać, podała trupka jego do wypychacza zwierząt, który go spreparował, wyjąwszy mięso z niego i kości, i wypchanego o szklanych oczach odesłał artystce. Zdobił, a raczej straszył i budził wstręt ustawiony na kanapie za przedmiot adoracyi i miłych wspomnień dla malarki. Otóż zakonspirowani przyjaciele postarali się o młodziutkiego i rozkosznego szczeniaka na następcę Bobiego. Nie powiedzieli tylko Boznańskiej, że to jest rasy polującej na myszy. Choć młodziutka i głupiutka psina, ale czująca instynktowną nienawiść do myszy, zaczęła uganiać za myszkami, a nawet z biegiem czasu mordować je ku

rozpaczy jego pani. Nie pomagały kazania, a nawet delikatne bicia, pieseczek psocił swoje, od czasu do czasu upolował jakąś ofiarę. Ah, ileż zgryzoty przysparzał zacnej i czulej przyjaciółce zwierząt. Przetrzebił ten korab Noego Bobi II mianem Ramzes II swoje nieprzyjacioły. Myszki dłużej musiały się kryć po norach, mniej bezczelnie śmiały, ostrożniejsze a wychodzące na łowy, gdy ten smok wawelski spał lub operował zapasy z chodnikami w innej części mieszkania. Byłaby się pozbyła psiaka, ale przywiązała się do niego, jak przypominał jej ukochanego poprzednika, Bobi I.

Zatruwała jej życie stale inna sprawa dotycząca zwierząt. Oto naprzeciw jej pracowni w dziedzińcu, a raczej w ogrodzie, usadowił się lekarz, który robił wiwisekcję na myszach, szczurach, królikach i innych zwierzętach. Czyż złośliwość losu może spłatać komu większej psoty jak ta, by się usadowić pod okiem adoratora zwierząt? Zwierzęta te piszczały, wrzeszczały, darły się, ale czy istotnie pod wpływem tortury, nie wiadomo. Atoli artystka każdy głos ich uważała za wyraz tortury i popadała w rozpacz i wściekłość. Otwierała wtedy okno, zwłaszcza jak doktor się ukazał, i zwymyślała go od mordercy, zbója, bandyty, łotra itd., co zacementowany przyjmował z szyderską, stoicką obojętnością. Biedna wielbicielka zwracała się do towarzystwa ochrony zwierząt, do prefektury policji, do filantropijnych stowarzyszeń, wszystko nic nie pomagało. Potężna nauka zwyciężyła współczucie i przesąd artystki. Musiała zrezygnować z gwałtownej walki, zadowolić się tylko odgrazaniem pięścią i bezsilnym złorzeczeniem.

**„Głupia nauka”**

W tej chwili przypomniał mi się zabawny epizodzik z jej dzieciństwa, który mi sama opowiadała. Była małym dzieckiem, gdy raz matka wzięła ją do sklepu szewca. Tu zobaczyła, czy też sam kupiec pokazał jej buciki, które jej się tak spodobały, iż usilnie prosiła mamy by je kupiła, do czego także sam szewc namawiał. Ale matka odmówiła i żadne nalegania obu stron nie odmieniły skutku. Gdy potem matka i kupiec byli zajęci rozmową i zapomnieli o transakcji, sprytna mała dziewczuszka z całą ostrożnością dorosłego złodzieja ściągnęła ze stołu trzewiczki i włożyła pod staniczek czy paltocik. Nie przyznała się, aż przyszła do domu. Z tryumfem zawołała, pokazując je matce:

– Nie chciała mama mi kupić, a widzi mama, że je mam.

W tej chwili atoli mama wybuchła płaczem i krzykiem:

– Złodziejka, moja córka złodziejka! Ukradłaś! Coś ty zrobiła?!

„Nie rozumiałam zupełnie rozpaczki matki”, [mówiła]. Przecież mam buciki, szewc o tem nie wie, że ona wzięła, więc po co płakać i krzyżeć.

– Ależ mammo, on nie widział, jak brałam, więc on nie wie, że to ja wzięłam.

– Tem gorzej, boś jest sprytna złodziejka. Zbieraj się, idziemy do szewca i oddamy mu buciki, a nadto sama mu je wręczysz, pocałujesz w rękę, przeprosisz i poprosisz o przebaczenie.



Jedni uważali jej pracownię za świątynię sztuki, drudzy za kuźnię bajek. W każdym razie ten kontrast zespołu był bardzo interesujący, a dla pisarza mógł dostarczyć bardzo wiele tematu. Zwłaszcza okres powojenny dostarczył wielkiej różnorodności ludzi.

Tragedja narodu rosyjskiego jak burza morska wyrzuciła wielką ilość wygnańców, którzy gdzie mogli, jak mogli, ratowali swój byt. Nie była to już „szeroka natura” pełna rozkrzyczanego humoru, upojenia alkoholem, skłonni dla popisu czynić wariackie wyczyny z rezygnacją jednego charakterystycznego im słowa naplewat[7], ale cicha zrezygnowana banda bankrutów, z obawą wokół spoglądająca, czy złośliwość ludzka nie będzie im urągała. Ci wczorajsi władcy, gubernatorzy, policmajstry, czynownicy[8] z policyi i ochrony[9], panowie życia i śmierci obywateli, prawo i nieprawomyślnie pozbawieni swej władzy, mienia i prawa do życia, wyszczuci jak lękliwa bezbronna zwierzyna ze swej ojczyzny, uciekali z kraju do kraju, szukając przytułku i bezpiecznego kąta. Cisi, przyzwoici, pełni dobrych manier, skorzy do usług, chętnie przyjmujący nawet najniższe funkcje zawodów lichy płatnych, godzący się na wyzysk, budzili powszechne politowanie i gotowość niesienia im pomocy. My, Polacy, rychło zapomnieliśmy im naszą krzywdę, a pomni własnej niedoli docenialiśmy ich tragiczne położenie, chętnie spieszyli z pomocą. Domy polskie, wsie i miasta nasze zaludniły się rojem rosyjskich wygnańców i przyjęliśmy ich z tem zadowoleniem, jaki budzi tryumf szlachetnej nacji nad pokonanym wrogiem. Pani generałowa, pan hrabia, pan gubernator, policmajster, właściciel ziemski spod Moskwy czy Astrachania, kupiec herbaty czy handlarz futer, wszystko to nomenklatury muzealnej wartości, stare wytarte bilety wizytowe, często jedyne świadectwo polecające, wspomnienia bogatej przeszłości, a dziś rozwiane iluzje, szkielet odziany łachmanem, pusty brzuch i brak dachu nad głową.

W to straszne położenie wygnańców losu wnikała głęboko Olga Boznańska i jak mogła, spieszyła im z pomocą. U niej zetknąłem się z licznymi Rosjanami ze sfery inteligencji. Dziś nie pamiętam ich nazwisk, ale przypominam sobie pewną panią generałową, przystojną, już starszą osobę, której Boznańska malowała portret dla niej, by sobie mogła go sprzedać. Pracowała za czasów aliansu franko-rosyjskiego w Czerwonym Krzyżu we Francji. Podziękowano jej, gdy wybuchła rewolucja bolszewicka. Osiadła na mieliźnie nędzy. Znała ją Boznańska z dobrych chwil. Według niej oddawała wiele przysług Polakom, emigrantom paryskim. Pani generałowa mówiła nawet wcale nieźle po polsku, była bardzo miłą i interesującą osobą. Bywał tam pan X, ostatni gubernator Kijowa czy Charkowa, czy jakiegoś innego miasta, w średnim wieku pan, serdecznie dziękujący za podany „czaj”[10], który mu przypominał dawne czasy, a dalej szły inne śmiertelniki, aż do „hudożnika”[11], który wzbraniał się kłopotliwie przyjęcia od Boznańskiej kilkunastu franków, które mu na osobności zatykała w dłoń, przepaszając, że nie może mu więcej pożyczyć. Ostatecznie pożyczkę można bez wstydu przyjąć, zwłaszcza jeśli ofiarodawca załatwia to z taką dyskrecją i dobrocią serca jak ta polska artystka. Ci potrzebujący biedacy byli zazwyczaj ludzie uczciwi, tylko nieszczęśliwi, ale też przychodzili i różni spryciarze, a dobrzy aktorzy, którzy łatwowierną malarzkę jak cytrynę z grosza wyciskali, aż w końcu raz taki „błękitny ptaszek” ulotnił z jej komody „nagrodę artystyczną rządu polskiego w liczbie paru tysięcy złotych”, pozbawiając środków do życia. Lecz jestem pewny, że zniosła ten cios ze stoicką flegmą, życząc nawet złodziejowi, by mu to na dobre wyszło. To jej nie uleczyło z manii przyjmowania nieznanym sobie osób i zawsze mogli zapukać do jej drzwi i pewni być otrzymaniem choćby i filiżanki ciepłej herbaty.

Nawiązując jeszcze do charakterystyki Rosjan, należy zaznaczyć, iż ówczesna emigracja rosyjska nie była tylko ciężarem bezwładnym pod opieką miłosierdzia Francuzów czy innych cudzoziemców. Wnosili własną kulturę i pracę tak oryginalną, iż nie tylko nie zatracili się w morzu obcym, ale wywarli głębokie piętno na niej. Literatura rosyjska, zwłaszcza balet rosyjski, tańce, teatr, muzyka, malarstwo, zabawkarstwo, modniarstwo, aż do kuchni, a przede wszystkim wódka, nie tylko stały się modne, ale poczęły gwałtownym wpływem zagrażać rozwojowi kultury francuskiej. Może to zbyt silne powiedzenie - zagrażać, więc powiedzmy: „owładnąć” kulturą francuską. Było to znakomite przygotowanie i podwaliny do przyszłego wpływu, też rosyjskiego, bolszewizmu, który jeszcze szybciej i jeszcze bezwzględniej wtargnął do społecznego życia tego kraju pod postacią frontu ludowego.

Częstymi gośćmi były Angielki i Amerykanki. W tym samym domu mieszkała pewna malarka Angielka Miss Harisson, nieładna, chuda, wysoka, ale przyjemna, dystygowana, wcale zdolna, wystawiająca w salonach oficjalnych, ze szczególnem umiłowaniem malująca kwiaty, martwe natury i wnętrza. Artystki obie odwiedzały się często, a nawet w miesiącach wyjazdu Angielki do ojczyzny zachodziła Olga Boznańska do jej pracowni, by podlewać kwiaty. Byłem parę razy w jej pracowni, która była urządzona ze smakiem, pełno artystycznych osobliwości, pełno starych draperyj i dobrych obrazów. Olga Boznańska malowała jej portret, który należy do najlepszych jej prac.

Drugim sąsiadem malarki był wspomniany Amerykanin, Mr. Bayly, malarz amator, który bardzo często zaglądał do niej i nieraz w krytycznych chwilach pospieszył z pomocą. Ten bardzo trzeźwo

obserwujący otoczenie i gości Boznańskiej stale otwierał jej oczy na ujemne strony tych kosztownych wizyt, ale to nie tylko niewiele wpłynęło, ale zyskało na opinię „samoluba i skąpca”. Po części należało przyznać słusność artystce. Czasem przyszła w towarzystwie przyjezdnych Angielek lub Amerykanek wybitna malarka, zwłaszcza dzieci, Miss How, która pewną miękkością formy i delikatnością kolorytu przypomniała naszą malarkę. U niej zaznajomiłem się z bardzo wziętą amerykańką malarką Chirk [?] Davis, która była specjalistką od portretowania najsławniejszych i najwybitniejszych ludzi świata. Myślałem, że to jest przechwałka, i dla przekonania się wymieniłem liczne osoby, jak np. Amundsena, Paderewskiego, d'Aumerie[12] itd., i przekonałem się, iż istotnie ich portretowała. Znajomość z nią ugruntowałem przez płatne pozowanie jej do portretu. Nie miałem wtedy pieniędzy, a ona potrzebowała modelu, więc przy pomocy Boznańskiej zgodziłem się na ten zarobek. Po tygodniu zaprosiła mnie na partnera w malowaniu [w] jej pracowni i i tam namalowałem parę studiów, między nimi *Donnę Izabelę*, Hiszpankę, bardzo interesujący typ, w czarnym ubraniu, a nadto małe studium z jej prawami. Nie powiedziałbym, by pochwyliła bardzo wiernie moje podobieństwo, było to raczej „rodzinne” podobieństwo jak indywidualnie. We formie odbijał się wybitnie smak angielski, wiele dystynkcji. Widać, że bardzo ulegała wpływom malarzy końca XVIII i początku XIX wieku. Zamówiła u mnie jeden obraz. Posłałem jej do Nowego Jorku niezły portret panny Dettloff Łucji, mej towarzyszkii niedoli wojennej. Portret ten bardzo jej się spodobał. Napisała list do mnie pełen uznania i dołączyła parę ilustracji ze swymi portretami. Mówiła mi Boznańska, że zarabiała olbrzymie sumy na portretach. Włóczyła się po całej kuli ziemskiej, a w Japonii przebyła dwa lata, zaznajamiając się ze sztuką tamtejszą. W r. 1922 miała z komisją aliancką przyjechać latem do Polski i mnie odwiedzić w Bochni, ale do zrealizowania tego projektu nie doszło. Spotkałem się jeszcze raz przelotnie u mnie w Paryżu przed moim wyjazdem na stałe.

Podróżowała w towarzystwie jakiejś młodej milionerki amerykańskiej i stały w Hotelu Crillon. Zaprosiła mnie do siebie i spędziłem z nimi tak mile parę godzin na rozmowie i polityce, że z trudem pólpijany wróciłem do domu, do Sevres. Nieszczęśliwym jej nałogiem było pijaństwo, co pono spowodowało rozwód z mężem, pono znanym autorem (czego?) w Ameryce. Dzisiaj żałuję, że będąc w Nowym Jorku, nie odwiedziłem jej. Miałem atoli tak mało czasu na zwiedzanie, iż umyślnie zrezygnowałem z tej przyjemności.

Z wybitnych osobistości, które jej pozowały, należy zanotować poetę Verharaerna[13], pisarza Remi de Gourmont, Sienkiewicza, Artura Rubinsteina, bakterjologa Danysza, ojca i syna, hrabiów Pusłowskich, siostrę Curie-Skłodowskiej z Zakopanego, Lutosławskiego Wincentego, pana i panią Triczel, opiekunów Biegata, panią Chełmońską i jej córkę, Zygmunta Zaleskiego, profesora polskiego w Słowiańskim Instytucie, Rubczaka, Ludwika Puszeta i jego żonę itd.

Dziś nie przypominam sobie nazwisk ludzi, co się przesunęli za moich czasów przez pracownię Olgi Boznańskiej. Będzie każdego roku po kilkadziesiąt. Jedni pozowali na prośbę artystki dla niej za darmo. Drudzy zamawiali sobie, czy to uznając jej talent, czy to ze względu na jej sławę. Byli i tacy, którzy nawet nie chcieli zabrać portretu, bo im się nie podobał. Do takich należał Henryk Sienkiewicz. Portret podarowała pisarzowi artystka, przeleżał długie lata wśród kurzu i zapomnienia w pracowni. Zwróciła się do Sienkiewicza, by sobie portret zabrał, ale on to zbył milczeniem. W końcu po wojnie sprzedała ten portret do Muzeum Narodowego w Krakowie. Wtedy dopiero Henryk Sienkiewicz przypomniał sobie i zażądał zwrotu od muzeum. Atoli dyrekcja oświadczyła mu, że obraz prawnie nabyła. Nie miał odwagi upomnieć się o zwrot u samej autorki i portret pozostał w muzeum.

Posiadam portret nieznanego mężczyzny nabyty na *marché aux puces*[14] za cenę 3 fr. z ramami. Myszkując raz na tandecie Porte Clignancourt, za ramami znalazłem wśród stosu brudnych ram, tektur i nędznych płócien olejnych zniszczony, pocięty od wilgoci portret pędzla Boznańskiej, nawet z jej podpisem. Ucieszyłem się szalenie i zapytałem o cenę. „Bez targu 3 fr., wszak rama, choć wytarta, warta tego, nie licząc tej zabazgranej tektury” - zastrzegł się sprzedający. Naturalnie, że nie targowałem się i kupiłem ową ramę z dodatkiem portretu. Ileż razy zamierzałem pokazywać ten portret Boznańskiej, by się dowiedzieć, kogo obraz przedstawia! Skończyło się na zamiarze, że śmiercią artystki będzie trudno stwierdzić autentyczność osoby sportretowanej. Okoń, mój przyjaciel, twierdzi, że to jest Kazio Górski, co wydaje mi się nieprawdopodobne. Dziś ja sam nie przypominam sobie jego rysów. Ale rozumiem tak: jeżeli obraz należał do Kazia Górskiego, trudno sobie wyobrazić, by zawędrował na tandetę. Tem bardziej, jeśli należał do Olgi Boznańskiej. Musiała to być jakaś inna osobistość, która w sposób jakiś nadzwyczajny postradała ten obraz. Może pochodzić ze spadkobierstwa biedaka albo z licytacji gratów nędzarza lub z licytacji za niezapłacony czynsz. Kogo przedstawia? Polaka czy innego cudzoziemca? Układ przypomina zupełnie portret Nauena[15] z Muzeum Narodowego w Krakowie. Data, zdaje mi się, 1909 r. (...)

### **„Zacięte trzy Polki”**

Pozowało jej więcej kobiet jak mężczyzn. Przeważnie wszystkie wyzyskiwały ją w sprawie zapłaty. Nawet najbrzydsze, które mogły dobrze zapłacić, wytargały cenę możliwie najniższą. Boznańska nie umiała i nie chciała się targować, więc zawsze stawała się ofiarą.

Zresztą potrzebowała zawsze pieniędzy, więc się zazwyczaj godziła na marnawą cenę. Prym w wymawianiu prowadziły zacięte trzy Polki, zresztą sprawa zrozumiała, bo większość zamawiających stanowiły one. Każda z klientek obiecywała jej wynagrodzenie za obniżkę w formie dostarczenia bogatego klienta. A tymczasem przeważnie taki następcą powoływał się na niskość ceny polecającego. Przy tym każda z tych pań chciała mieć portret naturalnej wielkości. Pigułkę wyzyskową osładzały szaloną serdecznością słów, uścisków i całusów oraz bardzo głośnym unoszeniem się nad talentem i dobrocią artystki. Czasem która zdobyła się na wiązanek tanich kwiatów, ale przeważnie nie przynosiły nic, a wypijały herbatę, a czasem i jakieś ciasteczko raczyły przegryźć. Mówię „raczyły”, bo ledwie za próg przeszły, mówiły między sobą: „Zacna i gościnną ta Boznańska, ale brud u niej, że ze wstrętem wypięłam tę filiżankę”. Mniemały te panusie, że Boznańska jest bardzo naiwną i nie spostrzega ich wyzysku i skąpstwa. Tymczasem milczenie i niereagowanie na te niskie objawy pochodziły z delikatności artystki i z wielkiej wyrozumiałości dla usterek natury ludzkiej. Czasem opowiadała mi Boznańska w formie humorystyczno-satyrycznej wypadki klasycznej małostkowości tych pań. Utkwiła mi w pamięci szczególnie pani notarjuszowa z Poznania, Cichowiczowa. Zamówiła wielki portret, naturalnie z wytargowaną niską ceną. Malarka wiedziała, że klientka jest osobą bardzo bogatą, a głośną z wyczynu patriotycznego - ufundowania w Muzeum Wielkopolskim w Poznaniu osobnego oddziału etnograficznego jej nazwiska. Skarżyła mi się Boznańska na niskość ceny. Nie chciała podać wyższej, bo się bała, iż odstraszy skąpą klientkę, a pieniędzy bardzo potrzebowała. Często w czasie jej pozowania przychodziłem i rozmawiałem z nią i jej córką, panną już przekwitającą. Obie były bardzo uprzejme i wiele przynoszące nowin z terenu Wielkopolski. Wcale miło przechodził czas w ich towarzystwie. Nasłuchałem się wiele rozplęwań nad talentem i dobrocią artystki, do czego zresztą dotycząca osoba była już tak przyzwyczajona, że nie robiło to na niej żadnego wrażenia. Gdybyśmy

byli sami, nieraz Boznańska mówiła: „Zacna pani, szkoda, że tak skąpa”. Zdaje mi się, że czasem zaprosiła Boznańską na kolację do restauracji, ale wobec wymagań gastronomicznych Olgi Boznańskiej kieszeni nigdy obciążyć nie mogła. Raz zdobyła się na bardzo szeroki gest, bo kupiła i przywiozła dla malarki filiżankę fajansową z Bon marché. Był to najordynarniejszy wybrakowany czerep, jaki w dniach „tanich” można było nabyć w dziale najuboższym. Boznańska, przyjmując ten prezent w przesadnych marzeniach nad pięknnością „prostoty” formy i barwy, dziękowała bardzo serdecznie ofiarodawczyni. Ja byłem oburzony i nie taiłem moich kpin.

– To się panu nie podoba? Przecież to tak piękne, skromne, jaka ładna w kolorze.

– Obrzydliwa, a przy tem bardzo niepraktyczna, bo wielka, będzie pani musiała nalać do niej więcej herbaty i dać więcej cukru.

Patrzeć nie mogłem na ten wstrętny pospolity czerep, symbol skąpstwa i lekceważenia artystki. Zawsze groziłem jej, że go rozbiję, czemu energicznie protestowała właścicielka.

Drugi przykład ten skąpej natury i nietowarzyskiej. Zapomniała raz chusteczki od nosa i pożyczyła od Boznańskiej. To sprawa bardzo naturalna i często zdarzająca się każdemu. Byłaby zupełnie zapomniała o tem, gdyby nie odjazd z Paryża tej pani, która przez służącą w dniu odjazdu zawiniętą w bibułki odesłała z dworca chusteczkę brudną i zasmarkaną! To był szczyt lekceważenia i skąpstwa, boć w Paryżu można w każdej chwili i na każdej ulicy znaleźć sklep z chusteczkami i

odesłać czystą, o ile nie chce się odesłać starej wypranej! Otrzymawszy mały pakiecik, była Boznańska zaciekawioną, co by to był za prezent niezwykły. Otworzywszy, doznała obrzydzenia i wstrętu. Odjeżdżając, owa pani powtórzyła swoje wielokrotne zaproszenia mnie do siebie, bym będąc w Poznaniu, odwiedził ją. Poznawszy ją bliżej, nie miałem ochoty wielkiej i na zachęcenie Boznańskiej odpowiadałem odmownie, atoli uległem w końcu, gdy prosiła mię o zlecenie ustne w sprawie ram do portretu. Przyjechawszy do Poznania w parę miesięcy po wyjeździe pani Cichowiczowej z Paryża, postanowiłem ją odwiedzić. Dzwonię dość długo, nikt nie otwiera lubo to prawie południe, więc ktoś w domu być musi. W końcu otwiera mi służąca. Znajduję się w ciemnym wąskim korytarzu. Pobok widzę na pół otwarty salon. Mrukliwym głosem pyta się służąca, czego chcę. Rozbieram się z zarzutki, którą kładę na wieszadło, i pytam, czy zastałem panią. „Jaśnie wielmożna pani jest w domu”. Podaję jej bilet swój z tytułem artysty malarza, chcę wejść do salonu, ale służąca przymyka go i mówi: „Proszę poczekać, zaraz oddam bilet”. Chcąc nie chcąc, muszę czekać w ciemnym, śmierdzącym naftaliną korytarzu. Wrażenie pierwsze nieprzyjemne potęguje się w miarę czekania. Mija jedna minuta, druga, trzecia, piąta i dziesiąta i ja tkwię w tej śmierdzącej norze. Zawrzało we mnie, ale postanowiłem zgwałcić moje zniecierpliwienie i doczekać się końca. Na koniec słyszę szmer w salonie, otwierają się drzwi i ukazują się w całej okazałości tuszy w *robe de chambre*[16] pani notariuszowa. Mrużąc oczy, zdechłym głosem pyta mię z proga, w ręku trzyma bilet: „Pan sobie czego życzy?”. Zawrzało we mnie! Wytrzymać mię w brudnym, ciemnym i śmierdzącym korytarzu po to, by się raczyć zapytać o powód przybycia, podczas gdy mógł poczekać w salonie. Zapomnieć tak prędko nazwiska tego, którego się niby serdecznie zapraszało! Tego było za wiele. Na pytanie wrzasnąłem co sił głośno i wściekle: „Niczego. Ramę od Boznańskiej przywiezie osobiście pani X, pozdrowienia nadto od pani Boznańskiej. Jest pani ordynarną babą bez form towarzyskich”.

Zabrawszy zarzutkę, strzeliłem drzwiami i wyszedłem wściekły. Opowiedziałem tę wizytę różnym ludziom w Poznaniu, wszyscy się śmiali z niej i wyrazili zadowolenie, że utarłem nosa tej wielkiej damie.

W parę miesięcy potem widziała się owa pani w Paryżu z Boznańską i usprawiedliwiała się z przyjęcia mię w korytarzu, że zanim mogła się zorientować, kto jestem, ja jak wariat wrzasnąłem, powiedziałem impertynencję i wyleciałem jak warjat. Zapomniała tylko dodać, że mię wytrzymała kilkanaście minut w ciemnym, śmierdzącym korytarzu i z progu salonu zapytała, czego sobie życzę. Nie spotkałem się z tą panią nigdy potem. Wspominam umyślnie tę osobę jako przykład braku kulturalności naszych polskich pań. Nie wstydzę się okazać szpetność owej natury wobec osób, z którymi, zdaje się im, nie należy się liczyć.

A oto nowy typ: dr Lipińska. Jest to lekarz ślepy, dziś już niepraktykujący, ale zarabiający na życie odczytami. Pono kalectwa nabawiła się w tragiczny sposób - zawiedziona w miłości miała wyskoczyć z okna, by odebrać sobie życie, i straciła tylko oczy. Cicha opinia mówiła, że tego rozpaczliwego kroku powodem był dr Bugiel, przezacny cichy, dobry lekarz, w Paryżu osiadły w dzielnicy Gobelin. Czy tak było istotnie, nie wiem. Znałem obie strony, ale nigdy nie poznałem tej kwestyi. Notuję to, co mi mówiła Olga Boznańska. Kalectwo wynagrodziła natura bardzo energicznym charakterem, który podtrzymywał ją i chronił od zwątpienia. Umiała jakoś dać radę, znakomicie budząc politowanie i podziw wśród ludzi, iż chętnie spieszyli jej z pomocą. Masaż, porada lekarska, a szczególnie „odczyty”, raczej mowy z zakresu medycyny, stwarzały jej środki do utrzymania. Mimo ślepoty goniła dzień cały do późnej nocy po całym Paryżu, zwłaszcza po klubach kobiecych i pracowniczych, wykładach i koncertach, a rokrocznie wyjeżdżała do różnych sanatoriów, czy to we

Francji, czy do innych krajów, zwłaszcza do Polski, gdzie spędzała wygodnie czas nie tylko bezpłatnie, ale zarabiała pieniądze wygłaszaniem odczytów. Szczytem śmiałości należy nazwać jej podróż do Stanów Zjednoczonych, gdzie się obficie reklamowała, nawet na tle Białego Domu, w towarzystwie samego prezydenta Coolidge'a[17].

Zacna Boznańska podziwiała bardzo energię tej nieszczęśliwej istoty, a chcąc jej przyjść z pomocą, namalowała jej portret i podarowała. Przychodziła bardzo często do pracowni Olgi i zamęczała wszystkich ciągłymi pytaniami i wymaganiami różnych usług. Spotkawszy ją po raz pierwszy, dałem się nabrać na litość i zgodziłem się napisać jej „tylko parę listów” zapraszających znajomych na jej odczyt. Wyznaczyła mi spotkanie w jakimś klubie kobiecym, do którego wpuszczano mię tylko ze względu na ślepą lekarkę. Zaprzęgnęła mię do tych kilku listów, których cyfra wynosiła 500, co mi zabrało parę godzin pracy, a następnie musiałem ją odprowadzić koleją podziemną na drugi koniec Paryża. Zabrało mi to prawie cały dzień, który spędziłem w towarzystwie nachalnej kaleki, do tego głodny, bez obiadu, wynudzony śmiertelnie, słuchając całego paplania, zmuszony odpowiadać na ciągłe pytania. Od tego czasu starałem się jej unikać, zwłaszcza w pracowni Boznańskiej. Niestety, Boznańskiej sprawiało szaloną przyjemność, wbrew mojej woli, narzucić jej mnie jako opiekuna. „Kto to, proszę pani, przyszedł?” albo: „Proszę pani, ja to czuję, że tu obok pani ktoś jest”. Daję znaki na migi, by mię się wymieniła, składam do niej ręce jak do modlitwy, nic nie pomaga. Śmiejąc się i złośliwie ciesząc, mówi:

– To pan Samlicki, który tak bardzo panią lubi.

– A to pan, jakże się cieszę, że pana tu spotykam, bo pan będzie łaskaw odprowadzić mię do metra (kolej podziemna) albo na ulicę du Maine. To pana niewiele zabawi, a odda mi pan ogromną przysługę itd.

– Ależ naturalnie – pospiesznie za mnie mówi Boznańska. – Pan Samlicki uczyni to z największą chęcią – i złośliwie śmieje się ze mnie.

Co miałem robić? Musiałem się poświęcić, choć byłem wściekły, zwłaszcza gdy to odprowadzenie do metra przewlekało się na inny jakiś spacer. Gdy to naciąganie powtarzać się poczynało bardzo często, ośmieliłem się w końcu odmówić i polecić ją innej osobie z towarzystwa panny Olgi. Echo z podróży dr Lipińskiej do Stanów Zjednoczonych odezwało się w pamiętniku byłego sekretarza ambasady polskiej za czasów księcia Lubomirskiego. Niestety zapomniałem nazwisko autora. Nie wymieniając jej nazwiska, skarży się, jak ciężką rolę musiał spełnić jako cicerone niewidomej lekarki z Polski. (...)

U panny Olgi Boznańskiej w pracowni żadnej zmiany, jakbym był wczoraj pożegnał[18]. Wielka artystka czeka daremnie na zamówienia, by nie wyjść z wprawy, maluje kwiaty lub dobrowolnie zgłaszające się modele. Jak dawniej, tak i teraz drzwi jej stoją otworem dla młodszej braci malarskiej i dla miłosierdzia, które niemiłosiernie ją wyzyskuje, począwszy od myszy, które nie zadowolają się kupionem dla nich jedzeniem, ale wykwintne w smakoszostwie ogryzają bezlitośnie tektury, na których nasza malarka maluje niezrównane portrety. Nie pomoże żadna perswazya kierowana przeciw tym szkodnikom, Święty Franciszek w spódnicy więcej ceni te złośliwe stworzenia jak dzieła rąk swoich. Inaczej na te stworzenia zapatruje się Kwikwi, biały łaciaty piesek, który ku rozpaczycy swej pani od czasu do czasu zamorduje niezręcznie umykającą przed nim myszkę. (...)

**Kościuszko w Instytucie Metapsychicznym**

Boznańska skłonna była do wszelkiego mistycyzmu. Bardzo chętnie nadstawiała ucha wszelkim opowiadaniom o duchach, o seansach spirytystycznych, o cudach w Lourdes, o Guziku, o ludziach, którzy padli ofiarą łatwowierności Eusapii Palladino[19], Richecie i jego instytucie metapsychicznym, o Bławatskiej, o Krisznie, o taumaturgii murzyńskiej, Swedenborgu[20] czy wreszcie o czarach i czarownicach. Tkwił w tern mistycyzm średniowiecznej mniszki, rozrzedzona ciekawość pensjonarki, szacunek wobec firm reprezentujących mistyczny okultyzm i zabobon bezkrytycznego, prymitywnego umysłu. Za mało miała chęci i czasu, i wykształcenia, by oddać się wyłącznie budowaniu zagadnień filozoficznych, zadawała się gotowymi aforyzmami, jakie jej przynosił codzienny przypadek, i z tego powstawał konglomerat, który jeśli nie rozwiązywał jej zupełnie wątpliwych problemów, to przynajmniej stwarzał jej atmosferę odurzającego zadowolenia. Ale należy dodać, iż na to wchodziły także pierwiastki realne, jakich dostarczały również przypadkiem upadłe okruchy nauki. Powiadam „przypadkowo”, bo artystka nie miała czasu na pracę w tym kierunku, a choćby na czytanie książek. Co najwyżej czytała dziennik, który kupowała co dzień, ale często i w nim miała zaległości parodniowe. Nieraz przysłuchiwałem się opowiadaniom różnych pań przynoszącym nadzwyczajne zdarzenia z tej krainy fatamorgany. Tchnęło to taką naiwną wiarą, że złośliwość moja zatrzymywała się wobec ich bezbronnej otwartości. Raz jednakowo dałem się porwać ciekawości i namowom Boznańskiej, by oglądać fenomen przybyły z Litwy, w osobie młodzieńca, kuzyna rzeźbiarki Grużewskiej, który w transie spirytycznym, czy nawet pono we śnie, wykonywał rysunki, kompozycje węglem. Poszedłem wraz z Grużewską do Instytutu Metapsychicznego Richeta, musiałem najpierw wysłuchać jakiegoś strasznie zagmatwanego odczytu, jakiejś mistycznej, a zasuszonej na mumię dziewicy, dziś już nie pamiętam treści, a w końcu

pokazano nam rysunki wykonane węglem na arkuszach papieru węglowego monachijskiego, które w gromadzie tych paniątek wywoływały okrzyki podziwu. Były to rysunki pozbawione artystycznej wartości, a przede wszystkim nieoryginalne, bo kopie znanych oryginałów osobistości historycznych, jak Witkiewicz, Kościuszko itd. Cała ta produkcja nie przedstawiała wartości artystycznej, ale sam proceder powstania mógł budzić zainteresowanie, w jaki sposób człowiek przy zamkniętych oczach mógł je wykonać, a cóż dopiero śpiący czy będący w transie. Czy tę zagadkę rozwiązał ów instytut wraz z Richetem, zaliczając ją do cudów, czy do oszustwa, tego nie wiem. W każdym razie Boznańska wierzyła, a przynajmniej zapewniała mi, że te rysunki wykonane są poza świadomością.

Przeczytaj także: Marcin Samlicki: Olga Boznańska. Część 1

### **Przypisy:**

[1] Tytuł i podtytuły pochodzą od redakcji.

Zamieszczone w niniejszym wyborze wypowiedzi Marcina Samlickiego o Boznańskiej pochodzą z jego *Pamiętników*. Samlicki Marcin, *Pamiętniki*, t. 1, s. 197-198, 231-232, 249, 628-661

[2] Z franc. dowód osobisty

[3] Właśc. Ludwik du Puget (Puszet) (1877-1942) – polski rzeźbiarz, malarz, historyk sztuki.

[4] Jacek du Puget (Puszet) (1904-1977) – polski rzeźbiarz.

[5] Eugenia Mondain.

[6] Izabela Boznańska (1868-1934) – z wykształcenia chemiczka.

[7] Z ros. spolszczona pisownia: splunąć, opluć.

[8] Z ros. Spolszczona pisownia: urzędnicy.

[9] W Imperium Rosyjskim służba specjalna, tajna policja.

[10] Z ros. spolszczona pisownia: herbata.

[11] Z ros. spolszczona pisownia: artysta.

[12] Oswald d'Aumérie (1865-1962) – niderlandzki malarz.

[13] Émile Verharaern (1855-1916) – belgijski poeta.

[14] Z franc. na pchlim targu.

[15] Tytuł obrazu: Portret Paula Nauena, 1893.

[16] Z franc. szlafrok.

[17] John Calvin Coolidge Jr. (1872-1933) – amerykański polityk, trzydziesty prezydent Stanów Zjednoczonych.

[18] [przyp. red.] Chodzi o 1925 r.

[19] Eusapia Palladino (1854-1918) – Włoszka, „medium spirytystyczne.

[20] Emanuel Swedenborg (1688-1772) – szwedzki naukowiec, filozof, mistyk.